**Nro 9.**

# DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

**Lwów, 22 kwietnia 1847.** **Rok ósmy.**

*Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 zlr. 15 kr.; całorocznie 10 zlr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.*

## MODY.

*Paryż, dnia 3 kwietnia 1847.*

**Stroje damskie.** Tym razem możemy już na śmiało mówić o nowościach wiosennych, ponieważ wielki ruch panuje od dni kilku po wszystkich składach i domach mody. Spostrzegać wszędzie można stosy materij jedwabnych, w rozmaitych cieniach i wzorach; kitajki chińskie, kitajki glansowane w jasnych kolorach; materie tak zwane *satin renaissance, satin boreal;* fular *Luisa*, fular na obydwie strony jednakowy, fulary wybijane, fular *brocard* na tle złotem i purpurowem; *poult de soie* w kwiaty, materie w pasy, w arabeski, w guście chińskim lub wschodnim; bareże, tarlatany przezroczyste, pekiny chińskie, nankiny, organtyny na tle czarnem mające rozmaite wzory; *tissus dauphin*, Pompadour letnie, kaszemiry, merynosy i t. p.

Widzieliśmy temi dniami przygotowane bardzo ładne stroje całkowite i o nich wspomnieć nieza niedbujemy: Suknie z zielonéj materii z gładką spodnicą, ze stanikiem gładkim, bardzo wysoko zachodzącym na ramiona, otwartym z przodu i z wyłogami, które z tyłu mają podobieństwo do pelerynki; na szyi szarfa z różowej wstążki; bardzo mały okrągły czepeczek, dwa razy korunkową szlarką bardzo mało namarszczoną obszyty, a po obu stronach fontaziami z fioletowej wstążki ubrany. Z błękitnej materii suknia, z gładką spodnicą, z bardzo wyciętym stanikiem, z gładkiemi długiemi rękawami, drugie rękawy muszlinowe; czarna korunkowa chusteczka dochodząca niżej pasa, obszywana czarnemi, wązkiemi wstążeczkami; czepeczek z czarnej korunki z bardzo małem denkiem, raz tylko korunkową szlarką obszyty, ubrany fontaziami z różowéj wstążki, między które wmieszane są fontazie z czarnego axamitu. W jednym z głównych składów widzieliśmy liczny zbiór najświeższych i najładniejszych kapeluszów z ryżowej słomki, z włoskiéj słomki; kapotek krepowych, jewabnych, kapeluszów przezroczystych z jedwabiu, ubieranych kwiatami lub piórami; kapeluszów z dużemi i małemi zasłonami i t p.

**Stroje męskie.** O nowościach w strojach męskich po odbytem Longchamps mówić dopiero będziemy.

Rycina przedstawia: Zieloną materialną suknię, w przodzie taśmami ubraną, z gładkim na ramiona zachodzącym stanikiem, otwartym z przodu i z wyłogami; różowa krepowa kapotka ubrana piórami i różowemi wstążkami. Suknia z włoskiej mieniącej kitajki, z gładką spodnicą; stanik gładki, wysoko zachodzący, ze szwem potrójnym; rękawy obcisłe: szafirowa w kwiaciaste kraty mantylka zaokrąglona z tyłu, wycięta mocno koło rąk i spadająca z przodu długiemi czworobocznemi końcami, z małą pelerynką, wokoło szeroką obszyta korunką; biała krepowa kapotka, gałązką róży ubrana.

Oprócz tych strojów rycina przedstawia; białą z włoskiej kitajki kapotkę, białą wstążką i różami przystrojoną, i ryżowy kapelusz, zaokrąglony przy twarzy i długiem piórem ubrany.

---

## SALON I ULICA.

*Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego.*

*(Ciąg dalszy.)*

---

Zrozumieliśmy już z rozmów poprzedniczych, że biedna Bogunia miała serdeczną skłonność do młodego malarza jakiegoś. Poznanie ich było proste i

zwyczajne. Bogunia chodziła przez czas niejaki do miasta na robotę do pani Stroik, modniarki drugiego rzędu, i tam u niej w sklepie pracowała po kilka godzin dziennie, aby się nauczyć haftów, i innych robót kobiecych, które czy w mieście czy na przedmieściu popłacają zawsze. Owoż każdy z nas wie z doświadczenia, że śklanne drzwi sklepu modniarki mają zawsze pociąg niepospolity dla młodych próżniaków miejskich, którzy biegając tam i sam po ulicach miejskich zaglądają przez nie i śledzą ładnych twarzyczek, które czasem nie wiedząc o tem, za pomocą tych biegających po mieście gazet dwunożnych, stają się sławne, jako piękności sklepowe. Studenci mianowicie są w tym względzie najsławniejsi szperacze i rozmówiwszy się jeno z nimi, można wnet mieć statystykę wszystkich dziewcząt sklepowych; nie można zapewne powiedzieć że studenci mają do tego najwięcej czasu, ale jestto niezawodną rzeczą, że mają do tego najwięcej ochoty i talentu. I takto już jest między nimi przyjętem, takto należy do ich własności, że najlepsi, najpilniejsi nawet studenci miejscy mieliby sobie za wstyd, gdyby choć jedną datę nową nie przynieśli do tej statystyki, która przez powagę czasu i zwyczaju, stała się namiętnością należącą do obrębu ich działalności. Nie będę się wdawał w ocenienie tej polskiego nazwiska niemającej *fensterparady;* wszak lepsza część młodzieży uczącej się, chociaż nieraz przyswaja sobie ten narów niepożyteczny zupełnie, a nawet śmieszny i poniżający młodzieńca kształcącego się, pojmuje jego nieprzyzwoitość, rozumie jakato jest niemała złych skutków przynosząca strata czasu. Bo nie kończy się to na kilkakrotnem zaglądaniu; nieraz spojrzeniu ciekawemu z ulicy odpowie spojrzenie zpoczątku obojętne ze sklepu, i zaczyna się często telegraficzna rozmowa oczów, w której pomału próżność i zalotność odgrywają niemałą rolę, i prowadzą poźniej do stosunków za równo szkodliwych obydwom stronom.

Bogunia nie należała zapewne do rzędu dziewcząt lubiących podnosić oczy od roboty swojej; pracowita i cicha nie miała tych roztargnień, spowodowanych przez patrzące z ulicy spojrzenia mniej lub więcej czułe. Ale Bogunia miała sąsiadki, które ją nieraz to półsłowem, to nawet dotknięciem ręki lub kolanem robiły uważną na niejedno spojrzenie widocznie na nią zwrócone. Nie robiło to długi czas żadnego na niej wrażenia, ale przecież gdy razu jednego poczciwa, dobroduszna, ale roztrzepana jej sąsiadka powiedziała jej z cicha:

— To już dziesiąty raz przechodzi dzisiaj; i tak ciągle od dwoch tygodni.

Mimowolnie rumieniec wystąpił na twarz Boguni. A gdy jej sąsiadka dodała:

— I tylko na ciebie patrzy....

Rumieniec nabrał barw coraz ciemniejszych.

— Jaki blady biedak! dodała sąsiadka; przykro mu że darmo wypatruje na ciebie oczy swoje... a dalibóg piękne oczy.

Taka chętka niewstrzymana porwała biedną Bogunię, że nie mogła przenieść na sobie, by choć pół spojrzenia nie rzucić ku oknu.

Patrzący młodzieniec był w rzeczy samej przystojny, a oko miał wyraziste, i z całem uczuciem podziękował dziewczynie radośnym wzrokiem za to jej spojrzenie.

Bogunia spuściła nazad oczy na robotę; zapłoniła się mocniej jeszcze, a robota tego dnia nie najlepiej poszła.

A nazajutrz uparty młodzieniec zaglądał znowu, a sąsiadka tak chwaliła jego postawę, ułożenie i ubior, że Bogunię porwała ochota przekonać się, czy to prawda wszystko.

I tak z dnia w dzień spojrzenia Boguni coraz dłużej spoczywały na ciemnych oczach młodzieńca, który niemi umiał przemawiać tak czule i wymownie, że biednej dziewczynie serce tłukło nieraz tak zawzięcie po piersi, aż jej tchu brakowało.

Nie będę szeroko opisywał jak ta znajomość dzień po dniu postępowała; wszak znajome to są rzeczy.

I do sklepu zaszedł młodzieniec, a kupował wstążki i to ciemnej barwy; oczywiście dla jakiejś starej matki czy krewnej. I nieraz wracając szybkim pędem do domu, słyszała Bogunia kroki za sobą, i ze strachu uciekała coraz prędzej, a kroki za nią tętniły coraz prędzej po bruku. I nie śmiała się obejrzeć, aż razu jednego, byłoto już poźno w wieczór, taki ją przejął strach, bo myślała, że to może złodziej jaki, pokuszony widokiem zawiniątka z robotą, które niosła z sobą.. że jużciż dla samego przekonania musiała się obejrzeć. To nie był złodziej zawiniątka, ale niebezpieczniejszy nadto złodziej serca, które jej w łonie skakało co raz mocniej i żywiej. Musiała więc odetchnąć, zwolnić kroku, a śmiały młodzieniec był koło niej i szepnął z cicha.

— Kocham cię Boguniu nad życie...—

Rzekł i znikł niegodziwy złodziej z serduszkiem niewinnej dziewczyny. Jakżeż tu nie kochać, kiedy z drugiej strony tak widocznie jest miłość i tak stała.

Nazajutrz szła już pomalej; wszak bezpieczna już była o zawiniątko swoje.

— Dla czegoż tak uciekasz śliczna kochana Boguniu?

Kusa była rada dla dziewczyny; wypadało coś odpowiedzieć, a słów ani daj Boże dobyć.

— Czy się mnie boisz?.. pytał dalej młodzieniec, tak słodko i czule, że się jej zdało słyszyć najpiękniejszą pozytywę, jaka kiedykolwiek zabrzmiała pod jej okna.

— Nie! szepnęła biedaczka.

— Dla czegoż nie spojrzysz na mnie?

Dziewczyna spojrzała na niego; piękniejszych oczów nawet we śnie nie widziała.

— Ja cię kocham!.. nad życie!

Głos ten wydał się jej dźwięczniejszy od śpiewu, któremu ona dotąd przysłuchiwała się jakby chórom anielskim.

— Pozwól, niech ci podam rękę... ty kulejesz biedna Boguniu...

Łzy się zakręciły w oczach Boguni, bo nikt dotąd nie żałował tego smutnego kalectwa, które przeciwnie było powodem do rozmaitych żartów przedmiejskich dowcipnisiów. I podał rękę, i ścisnął za dłoń drżącą.

— Oprzej się lepiej! ja cię poprowadzę; o jak chętnie prowadziłbym cię całe życie.. zawsze z tobą, zawsze przy tobie..

Łzy potoczyły się po bladych licach biednej dziewczyny. Ona tak sama na tym świecie potrzebowałaby podpory; i w tej chwili przyszły jej na myśl i matka i czulsza od matki Tekla; jak ją kochały, i jak ją pieściły... a teraz w grobie leżą obie. I niema nikogo na świecie, którył ją kochał i wspierał.. bo ojciec dobry, ale prosty człowiek, mało czuły, oddany pracy.. a często smutnemu nałogowi. Całe jej smutne życie stanęło widomie przed nią. Dla biednej dziewczyny z gminu, dla biednej sieroty jedno słowo czułe, to ponęta niezrozumiana dla was panien salonowych, pieszczonych od swoich i cudzych, pochlebianych od kolebki zacząwszy, którym los przyjaźny daje świat cały za piastunkę nieustannie kołyszącą w sen roskosznej rzeczywistości. Bogunia już kochała serdecznie czułego młodzieńca, a przecież po chwili odsunęła rękę, i rzekła naiwnie:

— Ja pana nie znam.

I to były słowa szczere, bez udanej zalotności: bo w tej chwili przyszły jej na myśl nauki poczciwej Tekli. Bogunia niewiedząc o tem sama, miała najczystszą skromność prawdziwej niewinności. Salonowa panna możeby to samo powiedziała, ale przez wyrachowanie, przez rozumowanie, którego ją nauczyły zimne guwernantki. Bogunia była dzieckiem gminu, a uczucia jej były tak czyste, jak są owe w gminie, póki ich nie skaże zepsucie.

Młodzieniec powiedział jej, że jest ubogim jak ona, że kształci się na malarza, i nazywa Ignacy Karzecki.

Dziewczyna słuchała z uwagą i zajęciem jak jej dobornemi słowy opowiadał że jest sam na świecie, bo matka stara która mu się została mieszka gdzieś daleko w małem miasteczku.

— Ja nie mam matki! rzekła biedaczka z łzami w oczach; a w duszy pomyślała, jakby serdecznie mogła pokochać matkę Ignacego. I w tej chwili rozczulenia ani jej przyszło na myśl rozważyć czy ubiór młodzieńca i jego słowa doborne zgadzają się z stanem ubogim, który jej Ignacy opisywał w tej chwili tak wymownie. Litowała się tylko nad nim; bo ubogi tylko umie dobrze zrozumieć ubogiego; i podziwiała młodzieńca, który tak umie pracować, by matkę starą utrzymać i wznieść się talentem. Jakże dumną się uczuła w swej myśli, że jest w stanie pojąć go i ocenić; jakże wdzięczną poczciwej Tekli, że dała jej wychowanie stawiające ją na równi z wzniosłem stanowiskiem młodego malarza.

— Ja cię śliczna Boguniu nigdy kochać nie przestanę . bo ty dobra, poczciwa, jak anioł.... A tyż mnie czy lubisz choć trochę.... powtarzał młody malarz. Bogunia nic nie odpowiadała, ale rumieniła się ciągle, a czuła wewnętrzną roskosz, jakiej jeszcze w życiu nie doznała.

— Ja mam ojca! rzekła po chwili milczenia; który mnie kocha..

— I pozwolisz przyjść Boguniu śliczna? zapytał ją pochlebnie.

— Dla czegoż nie! odpowiedziała naiwnie, a oczy zadziwione wypatrzyła na młodzieńca, nie mogąc pojąć takiego zapytania niemającego w gminie żadnego znaczenia. Ubogiego bowiem chata stoi otworem dla każdego, a ceremoniały są dla nich niezrozumiane.

I przyszedł nazajutrz młody malarz do domku Karosza w skromniejszym stroju, a od razu ujął serce szewca, gdy go prosił o zrobienie pary butów. I przychodził potem codzień; ani mu też miał za złe szewc Karosz, który rad był tej miłości, i cieszył się w duszy, że Bogunia ma kawalera nie szewca, nie cieślę, ale malarza. Poczciwy bo-

wiem Karosz, chociaż sam nie wiele posiadał wiadomości, prócz chyba zgrabności do dratwy, wielce szacował ludzi wykształconych, i zawsze wzdychał do tego, by Bogunia poszła zamąż za człowieka wyższego stanu nad stan rzemieślniczy. Że zaś malarz chce się żenić z Bogunią, o tem nie wątpił jej ojciec, bo chociaż dotąd mu nie powiedział ani słowa, widoczne były jego konkury, a nie ufać im ani przyszło na myśl naszemu Karoszowi. Myśl o fałszu i zdradzie była tak daleko od serca poczciwego szewca jak sam fałsz i zdrada. I jakżeż nareszcie miał mu nie wierzyć, kiedy za prawdziwość jego zaręczeń gotowa była zawsze zaręczyć i przysiądz nawet Bogunia, którę szewc przyzwyczaił się uważać za daleko rozsądniejszą od siebie, a nawet w ważnych życia chwilach zwykł się był jej radzić.

A Bogunia wierzyła młodemu malarzowi, jak się wierzy za młodu, jak się wierzy gdy się kocha szczerze. Po Bogu, do którego się modliła tak gorąco codzień, po matce i Tekli, za które codzień zmawiała pokorne modlitwy, a wspominała nieustannie, najdroższym i najmilszym był jej Ignacy, którego, jak się zdawało, w dziecinnej wierze przesądnej, te obydwie opiekujące się nią w niebie istoty natchnęły tą miłością dla niej. I mimo wielu trudów życia, wielu codziennych przykrości, jakżeż była szczęśliwa, gdy Ignacy przyszedł do ubogiego domku, i sam na sam wyznawał jej bez końca miłość swoję. I cierpliwie znosiła, jeżeli czasem całe dnie mijały w samotności, bo Ignacy nie zawsze miał czas przyjść, a nawet nieraz błagała go najszczerzej, by dla niej się nie odrywał od zatrudnień swoich.

— Ty nie masz czasu do stracenia mój drogi! mówiła do niego z prostotą; tobie jeszcze trzeba pracować, wszak twoja przyszłość to moja przyszłość.... nieprawdaż Ignacy?....

To ją tylko czasem bolało, że mimo prożb najusilniejszych, nigdy jej Ignacy nie chciał nic pokazać z robot pędzla swego. Onaby tak dusznie chciała podziwiać talent swego kochanka; ale Ignacy jej mówił, że wtenczas dopiero pokaże, kiedy roboty jego będą warte widzenia.

Bogunia chociaż nie zupełnie przekonana, milczała, bo dla niej słowa i chęci kochanka były święte. Ona w swem uczuciu nie miała żadnej miłości własnej, a miłość jej dla Ignacego była równie czysta jak silną. Wszelki czas i przestrzeń nikły przed siłą tego uczucia. Gdy Ignacy, który w samotnych rozmowach z kochanką, nieraz utyskiwał że czas jego szczęścia tak jest daleki, i gwałtowną namiętnością miotany przyciskał ją do łona, a usta jej całunkami płomiennemi okrywał, ona go odcałowała z równie mocnym, ale czystym zapałem, i mówiła mu:

— Ja będę czekać, gdyby lata najdłuższe. I żadnej nie mam w tem zasługi, bo ja jestem już teraz szczęśliwa.

— Szczęśliwa! krzyczał namiętnie Ignacy, a oczy jego iskrzyły się ogniem pożerczym.

Bogunia nie rozumiała zapału tego słowa i wzroku, bo jak mówiłem, jej miłość jako dar niebieskich opiekunek, miała i czystość uczuć niebieskich.

I nie myślcie państwo, by ta wielka różnica uczuć Kamilli i Boguni była przezemnie naumyślnie stworzona, o nie! ta różnica jest prawdziwa, bo oparta na koniecznych skutkach wrażeń, wpływających na obydwie. Dziewczyna z gminu jeżeli jest niewinna prawdziwie, a jest takich mnóstwo, póki ku nim wyższe stany towarzyskie nie wyszlą swoich Lowelasów, dziewczyna z gminu, jeżeli jest niewinna, ma czystość anielską, i dziecinną niewiadomość w swych myślach i uczuciach; bo ją ani wychowanie ku zalotności skierowane, ani xiążki wyobraźnię budzące nie zepsuły. Dziewczyna z gminu nie ma temperamentu, który jest wynikłością bytu dobrego, tego nieustannego sycenia się fizycznie i moralnie najsoczystszemi potrawami, i najdraźliwszemi wyobrażeniami. Dziewczyna z salonu marzy o obrazach, nęcących tajemnicą i urokiem wtenczas już, kiedy te obrazy osłania jeszcze przed ich wpół dziecinnym wzrokiem tajemnicza gaza. Dziewczyna z gminu nie myśli i nie marzy o nich wtenczas nawet, kiedy je już odsłonił przed ich wzrokiem przypadek lub naiwna szczerota źle wychowanych ludzi.

Boguni myśli były czyste, i dotąd niepokalane żadnem marzeniem dziennem, żadnym snem nocnym. Kochać, kochać i kochać ciągle lubego Ignacego!... nic nadto więcej nie rozumiała. I czyliżto nie mogło starczyć dla niego?.... O nie! bo miłość mężczyzny jest pełna egoizmu, wymagań, kapryśnych uprzedzeń, i choć najwyżej się wzniesie, dąży ku ziemi przecie z której pochodzi. Miłość dziewczyny niewinnej dąży zawsze ku niebu, zawsze ku tej ojczyznie swojej, i dla tego tak rzadko zdybywana na ziemi.

Jaki był charakter i usposobienie Ignacego, przyszłość okaże; kochał Bogunię, kochał ją mocno, ale kochał po swojemu, po ziemsku.

I pierzchły wnet chwile swobodnych pogadanek;

namiętność malarza nabierała coraz ciemniejszych odcieni, jakby chmury coraz czarniej gromadzące się. I zaczęły się wymówki, te burze, chwilowe zapewne, po których znowu pogoda, znowu czyste niebo; ale burze te były częste.

— Ty szczęśliwa! powiadasz!.... mówił malarz młody, a oczy iskrzyły mu się codzień namiętniej; ty obojętna!....

Wymówki kochanka były pierwszem obudzeniem się myśli ziemskiej w czystem, nieba godnem uczuciu Boguni. I pytała się sama siebie, za co na nie zasłużyła; czyliż może nie dosyć go kocha, nie dosyć pieści?...

— Twoje pocałunki Boguniu! mówił do niej, są zimne jak lód... a moje płomieniste jak żar.

Więc go dziewczyna całowała, a pieściła z całej siły, i zapewne z zadziwieniem postrzegła, że jej serce żywiej zadrgało. A przecież wymówki Ignacego były codzień mocniejsze i codzień wracały; aż nieraz biedna Bogunia w nocnej samotności łzami oblała skromną poduszkę swoję, i błagała swoich opiekunek drogich, by ją nauczyły tak kochać Ignacego, jak on chce być kochanym.

I tak trwało dwa lata; całe dwa lata.... Widzę jak na te słowa uśmiechnął się niejeden salonowiec z wargami satyra, a poskrobawszy się w przedwczesną perukę, pomyślał w duszy, że to powieściarska przesada, czego przecie dowodem oczywistym są wypadłe jego włosy i popruchniałe zęby. Nie odpowiem ci nic innego, zacny lionie, na twe szyderstwa, tylko jak szatana skrępowanego daremnem mocowaniem się z własną bezsilnością, skropię wodą święconą tych słów: dwa lata tak trwało!....

I wionęło swobodne szczęście pierwszych chwil dla Boguni. Częściej niż dawniej zostawała sama, bo Ignacy nieraz całe tygodnie nie przychodził; ale gdy przyszedł i lada jakę powiedział wymówkę, a zakończył słowem: kocham: to słowo czarodziejskie, ten talizman kochanków od wszelkiego smutku i udręczeń, nową pogodą oblekało niebo domowe Boguni; balsamem pociechy padało na zbolałe jej serce; dawne jej wracało szczęście.

I czekała, i wierzyła, i kochała, bo miała w całem tego słowa znaczeniu wiarę, miłość i nadzieję, tę prawdziwie boską trójcę w ludzkiem uczuciu.

A choć nieraz wyleciał Ignacy z burzą na czole, chmurą w oku, piorunem gorzkich wymówek w ustach; ona ze łzami patrzała za nim i mówiła do siebie złożywszy ręce i wzniósłszy oczy jakby do modlitwy:

— On mnie kocha przecie.... burza przeminie i nastanie pogoda... a jaka pogoda, jakie szczęście! gdy już zawsze będę z nim.... będę żoną jego. Lecz kiedy? nowa myśl zagadła, a uczucie westchnieniem odpowiedziało.

Że Ignacy niecierpliwy, by już została raz żoną jego, to pojmowała Bogunia, a więc w najlepszej chęci mówiła mu nieraz:

— Dla czegoż nie mamy się pobrać mój drogi... jesteśmy ubodzy, i podobno zawsze niemi będziemy, bo szczęście majątkowe możnym tylko pan Bóg daje; nam dał pracę i cierpliwość.... pobierzmy się więc.... i będziemy dalej pracować.... ja tobie zawadzać nie będę, ja cię nic kosztować nie będę; a może będziesz szczęśliwszy i spokojniejszy.

— Zapewne moja śliczna ty Boguniu z lodu; ale to są niestety marzenia tylko.... dziś jeszcze nie można... ale czyliż ty mnie tak mało kochasz, tak mało ufasz, byś nie mogła być żoną moją, żoną prawdziwą, bez xiężej stuły, bez błogosławieństwa kościelnego.

— Ignacy, ty żartujesz sobie z biednej dziewczyny.... Weź sobie życie moje, weź to serce, co tylko dla ciebie bije, ale mi nie odbieraj tych dwoch opiekunek w niebie, które na łóżku śmiertelnem błogosławiły mnie temi ostatniemi słowami: Boguniu bądź dobra, bądź cnotliwa, nic nie rób przeciw boskim przekazaniom, a Bóg i my czuwać nad tobą będziemy.

Ktoby był widział wówczas jak wybiegł młody malarz na przedmiejską ulicę i gonił ku miastu, byłby się przestraszył i zadrżał przed wyrazem złowrogim walki wewnętrznej, jaka wrzała na twarzy jego. Oko jego groziło, usta przeklinały; a na czole była burza łyskająca; biada ci biedna Boguniu jeżli raz ta myśl burzliwa wyleci z głowy piorunem czynu na ciebie. Zdruzgocze cię i zniszczy biedna dziewczyno.

I była noc cudowna, wonna, noc zaczarowana tchnieniem wiosny, pieniem słowika, światłem xiężyca, noc budząca tysiące marzeń, jakby bajka o raju widomie dla ludzi zstąpiła na ziemię.

Ignacy i Bogunia siedzieli na dalekim smętarzu miejskim. Dwie mogiły, a na nich dwa krzyże, skromne, drewniane, stały po obu stronach kochanków; tam spoczywają matka i przyjaciółka Boguni, do których częste wędrówki odbywała biedna sierota. I tym razem zaszli tam oboje, i późny wieczór ich zaskoczył na tej dziedzinie śmierci. Słowa miłośne, pełne zapału nikły pomiędzy groby; wiatr je wiosenny roznosił pomiędzy liście drzew i kamienne pomniki.

I długa była ta ich rozmowa. W oczach Boguni świeciły łzy, a na twarzy była bladość, która w

świetle xiężyca nadawała jej twarzy piękność i barwę posągową. W oczach Ignacego iskrzył się zapał, a na czole pomarszczonem unosił się dumny, nieprzebłagany, postanowieniem niezmiennem wkopany w nie upor; twarz jego płomieniła się barwami życia.

I taki był koniec ich rozmowy długiej

— Dobrze więc mój Ignacy, ty wiesz że cię kocham, kocham nad życie, nad wszystko, nad ojca nawet, co Bóg widzi,jak srodze nieraz sobie wyrzucam. Zrobię co chcesz, bo wiem że to dobre, co ty chcesz, bo wiem, że ty swojej biednej Boguni nic złego nie poradzisz, że ty nie zdradzisz kochanki ufającej tobie jak Bogu.

— Wierz mi Boguniu! odpowiedział malarz, a słowa jego wylatywały z piersi niecierpliwie i namiętnie: inaczej być nie może; matka moja na wszystko zezwoli, ale stryj jest uparty.... a stryj ma wielki majątek.... czyliż nie powinienem dbać o łaskę tego stryja; wszak jeżeli pragnę majątku, to głównie dla ciebie, którą chciałbym otoczyć całem szczęściem ziemi.

— Dzięki ci Ignacy!.... mnie tylko miłości two jej potrzeba; na nędzę mam odwagę i pracę, ale na brak twej miłości, na jej przestanie.... tylko chyba tu trzecie miejsce między temi dwoma grobami. Mój luby! przysięgnij mi tu raz jeszcze, że nigdy, nigdy nie przestaniesz mnie kochać.

— Czyliż ci to sto razy nie przysiągłem.... dla czegoż spokój grobowy przerywać naszemi przysięgami miłośnemi.

— Ja mój drogi nie widzę nic w tem złego.... jabym ci wszędzie przysiądz gotowa przed ludźmi i przed Bogiem. Daruj mojej dziecinności, ale zdawać mi się będzie, że tu bliżej stoją koło mnie matka i Tekla kochana, i że one będą świadkami twojej przysięgi; i czyliż mniej się godzi przysięgać na smętarzu, niż w kościele.... Bóg jest wszędzie, a prawą przysięgę przyjmie wszędzie od człowieka.

Cudownie piękna była Bogunia w tej chwili; na tchnienie bowiem wznosiło ją wyżej niżeli jest w stanie wznieść najwykwintniejsze wychowanie. Ona w swej cnotliwej prostocie stała aniołem przed kochankiem. Ignacy spuścił oczy ku ziemi, i nieśmiał ich podnieść; dumny jeno upor na czole a słowa z ust płynące robiły go podobnym do szatana kusiciela.

— Przysięgnij Ignacy! ja cię o to proszę! rzekła Bogunia; a w tej chwili w sercu biednej szewcównej z przedmieścia drzały uczucia czystego blasku. Świetności tych uczuć równały się tylko te w jej oczach łzy, brylanty najczystszej wody.

— Kiedy tak chcesz Boguniu; to jak i wszędzie przysięgam ci że cię kocham, rzekł jakby od niechcenia młody malarz.

— I nigdy nie opuścisz swojej Boguni.

— Nigdy moja luba...

— Przysięgasz mi na to....

— Przysięgam

— Słuchajcie go moje dwa anioły!... rzekła uroczyście; dzięki ci mój luby, mój drogi!

I w tej chwili gdzieś z dalekiego przedmieścia ozwał się głoś wyjących psów. I trzykroć rozległ się głos złowrogi po smętarzowej cichości.

— Zadrzał mimowolnie młody malarz; i podniósł strwożone oczy ku twarzy kochanki.

— Przypadek!... mruknął półgębkiem.

— Nie tłumacz mi tego mój luby... ja niemam przesądów, bo mam wiarę nieograniczoną w tobie.... i nie mogę jej nie mieć, bo życie moje i szczęście od niej zależy...

— A ty Boguniu, przerwał Ignacy, natomiast przysięgnij mi, że to co ułożyliśmy zostanie tajemnicą przed wszystkiemi.

— Tak chciałeś.... przyrzekłam ci.... i raz jeszcze przysięgam

— I nikomu nie powiesz; nawet ojcu...

— Nikomu... nawet ojcu....

A z wieży ratusznej dźwięk po dźwięku zadzwoniła północ.

— Już czas Boguniu... śpieszmy się.

— A więc w imię Boga.. idę za tobą.... opiekunki moje, pobłogosławcie mnie!....

I znowu trzykroć żałośne ozwało się wycie.... lecz już je niesłyszała Bogunia, bo patrzyła w oczy kochanka pałające ogniem, bo jej usta drzały pod namiętnym kochanka pocałunkiem.

Od tej chwili minęło już pół roku, i nic się nie zmieniło w chatce szewca Karosza. Bogunia tylko zbladła nieco, od pracy zapewne, bo pracuje teraz więcej jeszcze, a może i od łzów częstych, bo Ignacy od trzech miesięcy coraz rzadziej przychodzi, a jak przyjdzie, to jakby po wiatr, i zawsze chmurno na jego czole, a coraz niemiej na ustach.

Bogunię zaboli serce czasem, ale poczciwe dziewczę tłómaczy kochanka. On ma tyle do czynienia, biedny młody malarz; kształci się i pracuje dla niej. Bo Bogunia kocha swojego Ignacego dziś jak przed dwoma laty, dziś jak przed sześcią miesiącami.

*(Ciąg dalszy nastąpi.)*

*(Ciąg dalszy nastąpi.)*

# PUSTYNIA *)

naśladowane z francuzkiego przez Ludwika Bużynę.

## Oddział I.

### *Wstęp do puszczy:*

Pustynio! twój obraz w naszą myśl się tłoczy,
Boga i wieczność stawia nam przed oczy.
Duch nasz zdumiony przy takiej wielkości
Zwykłych swych pojęć przedziera granice;
Chce przekonaniem zdążyć do światłości,
By wszystkie twoje znikły tajemnice!...

Pustynio! ty milczysz?... a twej sennej ciszy
Głośne pierś nasza w sobie echo słyszy!
Są to wiecznego milczenia,
Akordy pełne złudzenia,
Które melodią w powietrzu pływają,
I o pierś naszą odbijać się zdają!

### *Głos puszczy na chwałę Ałły:*

Ałłah! Tobie cześć i chwała!
Twej wielkości
I wieczności
Żywym światu obraz dała! Ałłah! Ałłah!
Jesteś stały,
I wspaniały!
Miłosierny,
Silny, wierny!
Tobie kwitną szczęścia wdzięki,
Burz zamęty służą Ci,
Życie idzie z twojej ręki,
Skiniesz — śmierć wnet oczy ćmi!...

Ciebie wielbią dnie i nocy,
Ty posuwasz pasmo lat,
Ziemia cała w Twojej mocy,
Ciebie chwali cały świat.
Ałłah! Ałłah!

### *Karawana siz zjawia:*

Co to za przedmiot na niebios krawędzi,
Zda się że tutaj leniwo przypływa?...
To karawana... z daleka przybywa,
Burz się nie trwoży, żadnych sił nie szczędzi,
Ciągnie odważnie przez to piasków morze.
Pożałowania godne te istoty!
Całem ich szczęściem: rozbiwszy namioty
Odetchnąć wolniej o wieczornej porze!

### *Karawana nadciąga:*

Dalej żwawo! dalej śmiało!
Będzie się wnet lepiej działo,
Popuśćmy wielbłądom wodze,
By nie ustać w skwarnej drodze.

Niebo na swojem tle przezroczystem,
Słońce jak różę przypięło do łona,
Wietrzyki wieją, powietrzem czystem
Trzeźwi się nasza pierś utrudzona.

Dalejże więc żwawo, śmiało!
A będzie się lepiej działo,
Popuśćmy wielbłądom wodze,
By nie ustać w skwarnej drodze!...

### *Burza:*

Raptem coś słońce tak strasznie dopieka,
Zaledwie w żyłach krwi nie wysuszy;
Błękity twarzą pobladły człowieka
Tracącą wyraz ostatni duszy.
Burza nadciąga... gdzieniegdzie płomienie
Gwałtem się c sną na wierzch ziemi spiekłej;
Zawiał Sirocco, dusi jego tchnienie,
Już się i zerwał w całej sile wściekłéj,
Zarył skrzydłami w piaszczystą ziemię,
Wirem ją zmącił, i szatana siłą
Ku niebu pełne parsknął żwiru brzemię!
Zabrzmiała puszcza muzyką zawiłą,
Dzikie się wkoło zawiązały tany,
Niosące z sobą postrach — spustoszenie.
Odwrócił oczy Ałłah zagniewany,
Piekło wybuchło, i hula szalenie!...

### *Głos karawany:*

O godzino nieszczęśliwa!
Kara boska na nas leci,
Anioł śmierci groźnie wzywa,
Ałłah! łaski dla twych dzieci!

Nad nami duch się unosi zniszczenia,
Brudne pomiecie chłosta nasze twarze,
Siły wątleją, już bliskie omdlenia —
Któż nam bespieczne schronienie tu wskaże?

Ałłah! do Twojej łaski uciekamy,
Ałłah! przed Tobą w prochu się czołgamy,
Spojrzyj na nasze gorzkie łzy rospaczy,
Ratuj, o ratuj nas biednych tułaczy!

Wlej świeże życie w nasze wątłe siły,
Niech znowu dzień nam błyśnie pożądany;
By swej w tych piaskach nie znaleść mogiły,
Gdy na nas czeka własny kraj kochany!

### *Walka:*

I Bóg wysłuchał to ciężkie westchnienie...
Raz jeszcze zamiótł Sirocco szalenie,
Wnet się związały dzikie huragany,
Wstrzęsły pocztem naszej karawany:
Oddechem ognistym paliły,
Skrzydłami kurzawy waliły,
Sypały z góry
Żwiru całe chmury;
Lecz karawana
Sił nie traciła,
Brnąc po kolana,
Wściekle walczyła,
Póki nie zesłał dla jej wybawienia
Ałłah tłoczące skrzydło zniszczenia.

Huragany przygarbione
Poświstem jękły,
Pękły
I legły trupem do ziemi spłaszczone!...

---

*) Oda ta napisana przez pana Colin podług myśli pana Felicien Dawid, który skomponował przecudną muzykę do tej pieśni na motywa narodowe ludów wschodnich.

*Po uśmierzeniu:*

Że życie jest walką, świat sprzecznie dowodzi,
Bo przecież nam wszystko tak lekko przychodzi:
Proch co nas dusi, wśród piasków skwar dzienny,
Niczem są dla nas, bo duch nasz kamienny,
Ciało słuchać musi — więc jarzmo zgnieciemy,
Więc po każdej burzy wolno odetchniemy!

*Karawana dalej ciągnie:*

Ocknijmy się — już się stało;
Dalej znowu żwawo, śmiało!
Podróż daleka!
Rodzina czeka!...

## Oddział II.

*Noc zapada:*

Powoli z drzeniem blask słoneczny kona,
W pustynią nocna zapada zasłona,
Wieczorna gwiazda błyszczy na błękicie,
Z-za chmurki blady wyjrzał księżyc skrycie,
Cisza grobowa, czarowne złudzenia,
Chłodne wietrzyków powiewają tchnienia!

*Hymn do nocy:*

O nocy piękna gwiazdami olśniona,
Ku tobie chciwie wyciągam ramiona!
Bo twoje cienie gaszą skwar niemiły,
I chłodem lubym trzeźwią nasze siły.
Z roskoszą pierś się twym oddechem poi,
W duszy czarowne marzenie się roi,
Mglista się tkanka nadsuwa przed oczy,
Wnet się świat cały z nami kołem toczy,
I już sen słodki osiada nam skronie,
I na swem miękkiem kołysze nas łonie.
O nocy piękna gwiazdami olśniona!
Ku tobie chciwie wyciągam ramiona,
Bo jak kochanka tęsknotę młodziana,
Tak ty nadgradzasz nocy ukochana! —

FANTAZIA.

*Taniec Almey:*

Patrzcie, tam pląsa przy Tarabuku,
Lekka Almee — niby woń z Chybuku
Wiejąca miło przez piasczyste błonie!
Wolności wieniec umaja jej skronie,
Swobodne myśli jasną drogą kroczą,
Żadne zmartwienia piersi nie kłopoczą,
Żyje roskosznie — choć wśród suchej puszczy!
Bo co jej z świata? co z tej brudnej tłuszczy,
Co sztucznie toczy zimnych intryg koło?
Naco troskami ma zachmurzać czoło?
Lepsze wśród piasków wolne tkliwe serce,
Niżeli w świecie złota i kobierce!

*Jej śpiew na wolność pustyni:*

Więdnijcie w murach laleczki nadęte,
Naco wam patrzyć na te cuda święte,
Które Bóg stwarza dla Was w przyrodzeniu.
Myśl wasza w ciasnem spętana więzieniu,
Wznieść się nie może do niebios świętości,
Nie buja wolno po świata piękności,
Bo całem szczęściem waszem połysk złoty.
Spojrzyjcie na nas namiętne istoty,
My pośród suchych tu piasków mieszkamy,
A przecież większą moc i dumę mamy!
Nad nami niebios oparte sklepienie,
Nam zseła słońce złociste promienie,
Nasze są chmury grom burzy niosące,
Nasze te stepy piasczyste, gorące,
Nam to przyświeca księżyc rozjaśniony,
Na nas się patrzą gwiazdek miliony,
Kiedy w marzeniach słodkich zasypiamy;
Patrzcież, to wszystko wolni posiadamy...

*Marzenie nocne:*

Dłużej, o dłużej, chłodne nocy cienie
Pieśćcie to suche piasczyste przestrzenie;
Bo wy tu tylko swobodę tworzycie,
Bo z wami tylko tu czuć można życie.
Nocy kochanku! marzący księżycu,
Zkądże ta bladość dziś na twojem licu?
Wszak jesteś wiecznie z twą lubą złączony,
Czemuż więc płyniesz taki zasępiony?
Gdyby tą gwiazdką można bydź na niebie,
I w swojem świetle odbić luba ciebie;
Chętnie bym tutaj położył się w grobie,
Żeby tam można wiecznie tleć przy tobie!
O śnie swobodny! już mi mrużysz oczy,
Już się świat cały ze mną kołem toczy,
Gdzieś w tajemniczy kraj ułudzeń płynę,
I z myśli wątkiem gdzieś w zatokach ginę!...

## Oddział III.

*Wschód słońca:*

Ranna jutrzenka brzeg nieba rumieni,
Złudnym połyskiem po piaskach się mieni,
Powoli słońce w swej świetności wschodzi,
Światło rozlewa; życie, miłość rodzi!
A karawana ze snu obudzona,
Ku Ałły swemu wyciągła ramiona:
Błaga pomocy na dzienne przygody,
Błaga o lekki deszczyk dla ochłody...

*Spiew Muezyma:*

Na kolana, na kolana,
Żeby godnie uczcić pana;
Bo on silny i wspaniały!
Nućmyż jemu pienia chwały
Każdy z głębi piersi swojej:
»Ałłah! jesteś pan nad pany,
A Muhamed z łaski twojej
Wielki prorok nam zesłany!«

Oryg. arab. *El salam alek,*
*Aleïkoum el salam*
*Ałłah hou akbar,*
*Ja aless salah,*

*La Ałłah ill' Ałłah*
*Ou Mohammed rassoul' Ałłah!*

*Karawana się wybiera:*

Lekki powietrzem wietrzyk kołysze,
Ałłah jest z nami, cni towarzysze!
Szczęście nam wróży — więc do roboty!
Wiążmy ładunki, zwińmy namioty;
A potem dalej w święte imię jego,
Dążmy ochoczo do celu naszego!

*Karawana ginie w mgłach oddalenia:*

I już ruszyła — coraz dalej płynie,
I zwolna w bladych obłokach gdzieś ginie...
Tak znika ranna mgła przed słońca blaskiem;
I znowu cisza panuje nad piaskiem,
Lecz o tajemnico tej grobowej ciszy,
Głośne pierś nasza w sobie echo słyszy:

Są to wiecznego milczenia
Akordy pełne złudzenia,
Które w powietrzu melodią pływają,
I o pierś naszą odbijać się zdają!!

*Głos pustyni na chwałę Ałły:*

Ałłah! Tobie cześć i chwała!
Twej wielkości
I wieczności
Żywym światu obraz dała!
Ałłah!
Ałłah!

---

## LISZT WE LWOWIE.

Przyjazd zupełnie niespodziewany tego wielkiego mistrza narobił, jak to łatwo pojąć, niepospolitej u nas wrzawy. Cóż się o nim nie nagadano, co nie nawymyślano i nie nadomyślano się?.... tego i na wołowej nie spisałby skórze. Bo jeżeli skronie tego króla wszystkich żyjących i umarłych już pianistów, otaczają wieńce nieśmiertelnej sławy uwite z różnobarwnych kwiatów wszelkich niemal krajów świata ucywilizowanego; jego talent, życie całe i nazwisko osnute są jeszcze bardziej mnóstwem najrozmaitszych anegdot i opowiadań, osłaniających go mianowicie dla takich jak my, cośmy jego nie widzieli i nie słyszeli, jakby mgłą fantastyczną. Tu bajeczne wieści o życiu excentrycznem, rozrzutnem i szybkiem w prawdziwy potwór skrzywiają obraz jego, tam go poufne na ucho zwierzania o jakichciś zobowiązaniach finansowych, o zaprzedaniu talentu bankowym przedsiębiercom, jakby duszy szatanowi, w karła zmieniają; to znowu różno-języczne wszystkich gazet doniesienia, echa europejskich oklasków aż do nas dochodzące, olbrzymem malują. Gra cudownie! powiadają; zapewne, ale.... a ludzkie ale mnoży się w nieskończoność, jak głowy hydry lernejskiej... ale nie zdoła przecie wznieść się do pojęć głębokich muzyki niemieckiej, tej harmonii dawnych Germanów rzadko tylko przez najpierwszych kompozytorów schwytanej; ale nie ma prawdziwego ducha, jeno mechanizm do najwyższej potęgi posunięty, powiada artykuł w nr. 19. tegorocznego tygodnika petersburskiego, który w potrójnym kształcie, bo przedrukowany w gazecie warszawskiej i poznańskiej, pojawił się u nas wraz z Lisztem samym; artykuł zresztą z talentem i tak zgrabnie napisany, że mimowolnie trzeba poznać wprawne pióro tego znakomitego rodem i talentem pisarza wołyńskiego, który w rozprawach czy w powieści zawziął się, by złej sprawy bronić z krzywdą dobrej. Lecz nadszedł dzień pierwszego koncertu, który się odbył dnia 16. b. m. Sala towarzystwa muzycznego doskonale była urządzona, bo na samym jej środku było podniesienie z dwoma fortepianami dla Liszta; a więc wkoło siedzący mogli go widzieć i słyszeć zarówno, i nikt nie był nadto oddalony; a pełno było w sali jak nigdy. I uderzał w klawisze; a mgły owe fantastyczne powstające jak zwykle z nizin i bagnisk rozumu ludzkiego, opadły jakby przed słońca promieniem. Chwila po chwili, ton po tonie rosło powszechne wrażenie; wszyscy poznali mistrza. Po czem? darmo pytać, bo wytłómaczyć trudno; bo do ocenienia gry jego słowa nie wystarczą; czuciem jeno pojąć ją można. O mechanizmie, o trudnościach przełamywanych, zapomnieliśmy zupełnie, bo by poznać owe trudności przełamywane przez Liszta, trzebaby chyba zamknąć uszy, i patrzeć tylko na palce. Trudne czy nietrudne przejścia, podobne czy niepodobne kombinacie klawiszów, to dla niego są tylko środki do wydania tej cudownej całości harmonijnej, jaka zaokrągla każdy utwor muzyczny przez niego odegrany. Bo gdy go widzisz przy fortepianie w skromnej postawie, z tą bladością nieziemską, i czołem wzniosłem, po którem zda się myśl przechodzić, drżeć w długich jeżących się włosach, gdy postrzeżesz te szybkie ruchy palców, a usłyszysz to bogactwo tonów, o jakiem ci się ani śniło; mimowolnie pomyślisz, że to siedzi przed tobą samowładca wszelkiej możliwej harmonii, którą zda się dzierżyć w palcach swoich, i wyrabia ją w nich dowolnie, na te wszystkie tony, czy burzy żywiołów, czy burzy namiętności, na wszystkie głosy przyrody, na wszystkie dźwięki, jakiemi ludzkie przemawiają czucia. Jednego tylko Liszta słysząc, zapomina się zupełnie o instrumencie na którym gra, bo to nie martwy

gra fortepian, ale jego własne natchnienie muzyczne, które on cudem niepojętym wlewa w te silne ręce swoje. I w czemże więc jest ten powab niepojęty gry Liszta? Oto w tem właśnie czego mu korrespondent tygodnika petersburskiego zaprzecza; w duchu jego, w natchnieniu muzycznem, które w Liszcie zamieszkało. Bo cóż jest ten duch, o którym bajesz szanowny korrespondencie?.. czem jest duch w poezii, która cię budzi do myśli lub czynu? czem jest duch na płótno pędzlem i barwą tak wczarowany, że na widok obrazu zadrzysz podziwem, zapłaczesz żalem. To jest artystostwo poety, malarza!... Artystostwem do najwyższego stopnia posuniętem jest to ukończenie doskonałe, odcieniowanie każdego tonu przyciskiem jemu stosownym, który w klawisz pchnięty, zaspiewa w uchu nutę, której uczucie zawtoruje w duszy; ta całość ogółu, a wyrobienie szczegółów, jakiem się odznaczają wszystkie najmniejsze utwory przez Liszta odegrane. Toteż w jego grze nie ma owych granic, które my tłómaczymy pewnym typem, rodzajem, manierą. On w swem natchnieniu czerpie stosowną do każdego utworu manierę. I zagrał utwor Beethowena!.... i lały się tony poważne, głębokie, przerażające tajemnicą, jaka panuje w utworach tego mistrzowskiego kompozytora. Bo Liszt pojął myśl jenialnego twórcy własnem natchnieniem. I o nim śmieją powiadać, że nie zdoła dojść do głębokości muzyki niemieckiej!... I zagrał mazurka naszego, i zadzwoniły wszystkie nuty nasze ojczyste, taką tęsknotą przesiąkłe, skoczne zewnętrznie, a rzewne i żałośne wewnętrznie, jakby mistrz co je wykonywał, naszem żył życiem, i od dawna od lat młodych, dziecinnych nasłuchał się owych wszystkich harmonii naszej przyrody, naszych myśli i chęci, które się odbijają w nutach naszych mazurków. I to właśnie jest artystostwo!.. o które pytać trzeba w utworze poety, malarza lub muzyka. Jakoż z tego względu Liszt jest niezaprzeczenie wielkim, jenialnym, nieporównanym artystą, przed którym nikną wszystkie talenta muzyczne. On nie oddaje ślepo, martwo, nut muzycznych, ale tworzy harmonią, która strumieniem, wodospadem, rzeką, morzem rozlewa się z pod palców jego. I nie zawsze jedna, matematycznie wymierzona, nigdy niezmieniona, bo jej żywe, nigdy niewysychające źródło tryska bez końca z natchnienia poety muzyka.

## Odpowiedź na odpowiedź.

Tytuł bardzo zalecający; bo uwiadamia publiczność, która abonuje się na »Dziennik mód« że będzie jeszcze miała przyjemność czytać dalszy ciąg literackiej sprzeczki, prowadzonej z całą powagą i umiarkowaniem, jak tego sam przedmiot wymaga. A nie myślcie panowie, żeśmy się posprzeczały o bagatelkę, jak n. p. o estetykę mantylki lub czypeczka; ważniejsze daleko toczą się tutaj sprawy!.... bo między innemi idzie nam o to: czy kobiety autorki mają was nauczać, czyli poprzestać skromnie na nauczaniu kobiet?

Autorka odpowiedzi na artykuł z »nad Seretu« nazywa »szczególniejszym paradoxem« twierdzenie moje, że kobiety piszą wyłącznie dla kobiet, i oburza się, jakoby na największe poniżenie autorek, na to, co ja w prostocie mojej sądziłam najwyższym ich zaszczytem. Wszakże, myślą moją było objawić raczej życzenie, niżeli ogólne prawidło do zachowania. A broń Boże! Ktożby dziś był tak zuchwały, aby kobiecie mającej po temu zdolności i szczere chęci poprawiania przez pisma swoje rodzaj męski, śmiał zaprzeczać tego prawa, zwłaszcza gdy wykonywanie onego połączone jest z tylu istotnemi niebezpieczeństwy, że wypadałoby raczej uwielbiać bohaterskie poświęcenie niewiasty, która mężnie rzuca się na pociski zawiści, walczące nieraz, nie zbyt delikatnie, ostrą bronią śmieszności.

A to poświęcenie autorki, jakże często bywa zapoznane i bezpożyteczne! Ci niepoprawieni mężczyzni... wielbiąc pisma nieodżałowanej Tańskiej, która pióro swoje tak słodko-wymowne, poświęciła wyłącznie oświeceniu płci swojej, bo może sądziła, że wpływ światłej żony jest najdzielniejszym środkiem ku poprawie męża; ciż sami niewdzięczni mężczyzni... zagłuszyli drwinkami głos filozofii, odzywającej się do nich z »Pielgrzyma«, i w zaślepieniu śmieli twierdzić, że redaktorka tego pisma, siląc się »nawracać nawróconych«, walczy jak błędny rycerz Cerwantesa, z urojonem widmem ateizmu. To zawiść widoczna... kaprys obrażonej miłości własnej... i nic więcej... Bo i dla czegoż, »Myśli o wychowaniu kobiet» pióra tejże samej autorki znalazły dość dobre przyjęcie u światłych mężczyzn. A wszakże zagroziły one wielką zmianą w kodexie małżeńskim; bowiem P. Ziemięcka, uczucie obowiązku małżonki położyła wyżej nad uczucie miłości dla męża, twierdząc, i słusznie jak mi się zdaje, że miłość taka tylko w duszach wybranych przetrwać może srogą próbę czasu i zniszczonych ułudzeń... a znikając bezpowrotnie z serca, które na niej gruntowało całą swą cnotę, prowadzi kobietę do rozpaczy lub.... hańby.

W prawdzie, autorka odpowiedzi na artykuł

»z nad Seretu» skromniejsze od redaktorki „Pielgrzyma» objawia zamiary mówiąc: że dziesięciu męskich półgłówków nie stanęłoby za jedną głowę rozsądnej kobiety. A zatem, rozsądnej kobiecie pozostaje pisać dla półgłówków?.... nie wiem czy każda zgodziłaby się na taki wyrok.

Mnie się zdaje że byłoby już pożyteczniej poświęcić, dziś jeszcze, wyłączniej pióra swoje dla kobiet; a nie tylko dla tych kobiet, którym majątek ułatwia drogę do ukształcenia, ale i dla tych, dla których pisemko zastosowane do ich pojęcia i kasy, byłoby prawdziwą, najpożądańszą może jałmużną...

Tyle już dziś pisano o owej zbawiennej potędze jaką wpływ światłej kobiety wywiera na obyczaje, że pozostaje mi tylko powtórzyć raz jeszcze życzenie, ale nie prawidło, aby wszystkie autorki posiadające zdolność do napisania tak ładnej powiastki jaką jest n. p. «Porękawiczne» dały sobie słowo że przedewszystkiem pracować będą nad oświeceniem kobiet; bo to praca najpilniejsza i najbliższy obowiązek. A w powabne ramki powiastki czyliż się nie da wsunąć zręcznie surowszy obrazek, przypominający i tym kobietom które jak dzieci lękają się długich rozpraw, aby jak dzieci, nie poświęcały swym chwilowym zachceniom, tych obowiązków od których wypełnienia zawisła cała wartość kobiety. Praca zwrócona w tym kierunku, bez przerwy, prędzej czy poźniej odniesie pożądany skutek. Wtedy, już nie pojedyńcze, wybrane natury, ale ogół kobiet, stanie się tem czem je chce widzieć autor powieści: »Ona była niewinna» który nam, jakby na pożegnanie u mogiły, silnej jedynie miłością dla kochanka, rzucił słów kilka, tak wymownej i pełnej głębokiej prawdy myśli.... Wtedy nie liczylibyśmy w pośrod nas tyle owych amazonek upominających się u biednych małżonków o emancypacią kobiety w jej politycznych i towarzyskich prawach, podczas gdy emancypacia jej głowy i serca w tak opłakanym znajdując się jeszcze stanie, najpierwszych wymagałyby starań.

Co się zaś tyczy Klementyny, autorka w odpowiedzi swojej na artykuł „z nad Seretu" uprzedziła sama główny zarzut jaki uczynić miałam temu dziełu mówiąc: że »powieść ta bardzo jest podobna do terazniejszych francuzkich romansów«. To właśnie podobieństwo, jest pierworodnym grzechem większej części powieści polskich, i wcale, wcale nie jest ich zaletą ile mi się zdaje. Jak we francuskich romansach szukamy obyczajów francuzkich, charakteru francuza, tak jak ten charakter wypiętnował się w różnych klasach społeczeństwa francuzkiego; i zawsze radzi w nich widzimy, jak też myślą, czują i działają Francuzi; tak też w polskiej oryginalnej powieści, radzibyśmy aby nam przedstawiono Polaków niekoniecznie posyłających do Paryża po swój charakter, jak po artykuł mody. Czy doprawdy salonowe towarzystwo tak podobne jest do siebie we wszystkich krajach, że i najbystrzejsze oko utalentowanego pisarza nie zdoła w niem dostrzedz rysu miejscowego?.. Nadto żądamy, bo nas żądać dziś ośmielono, aby autor z talentem który pisze pod wpływem dzisiejszej oświaty, i chce nam zobrazować świat dzisiejszy, nie kontentował się, choćby wiernem daguerotypowaniem, śmieszności, przywar, i przesądów towarzystwa go otaczającego, lecz użył tych materiałów do przedstawienia nam jednej jakiej dobrej myśli, odkrycia jednej jakiej nieznanej nam jeszcze tajnicy serca człowieka. Aby pożyczywszy tych form z prawdziwego życia, zajrzał głębiej w toż życie, odgadując ruch jego i potrzeby; a okazawszy nam jedną stronę medalu, postawił obok niej, stronę dodatnią: żywioł odrodzenia. Tchnąc w te formy zdjęte z natury życie ducha, a zamiast wiernego odbicia Daguerra które i najdrobniejszej plamki nie pominie, stanie obraz Rafaela przemawiający do zmysłów prawdą kształtów, a unoszący ku niebu prawdą boskiej myśli!

O czuję to dobrze, dotknęłam tu polotnie zagadnień dość ważnych, których obszerniejszemu rozwinięciu i zakres tego pisma i słabość sił moich, stają na przeszkodzie. Niechaj mi przynajmniej wolno będzie wyrazić tu życzenie aby i »w Dzienniku mód« w którym pojawiły się już rozbiory nowszych powieści, te zagadnienia nie zostały pominięte. Są one ważne nie tylko dla literackiego świata, bo świat ten zaprzestał już dzisiaj żyć odrębnem życiem swojem; jeżeli kiedy żył niem wyłącznie, i dziś stronnicy sztuki dla sztuki, jakkolwiek wymowni, nie przeszkodzą temu, aby, nie tylko ważniejsze zagadnienia czasowe, ale codziennie niemal silniejsze drgnienie społecznego życia, nie odbiło się echem w łonie tego świata. *)

Wracam jeszcze na chwilę do Klementyny. Ten obrazek w którym autor przedstawia nam swą bohatyrkę w skromnej sukience wyrobnicy siedzącą z robótką w ręku obok kobiety niecnej, w chwili gdy z miną tryumfującą wchodzi ów sławny z libertyństwa bohatyr który miał służyć za narzędzie jej

*) Tak zwani stronnicy sztuki dla sztuki, żądają jedynie, aby życie społeczne nie w odłamach z pewnemi ubocznemi celami przedstawiać, lecz ująć myśl tego życia w całości zupełnej, i tym sposobem podnieść powieść do wysokości sztuki. O wyłączeniu z powieści obecnego życia społecznego, żaden z tych stronników ani pomyślał. p. r.

zguby, a Klementyna, jednem spojrzeniem szlachetnej dumy, pełną godności postawą, budzi w zuchwalcu mimowolne uczucie poszanowania, ten obrazek wydał mi się najpiejkniejszym z całego dzieła. Ależ ta sama Klementyna, pobożna aż do najszczytniejszego zaprzenia siebie, zamiast pozostawić Bogu swą zemstę osobistą... co byłoby, jeźli się nie mylę, godniejszą modłą stwórcy nad długie jej pacierze odmawiane w kaplicy i robótkę kanwową z ostatniego grosza.... ta pobożna Klementyna mści się z wyrachowaniem zimnego okrucieństwa nad człowiekiem już zgnębionym, którego prawa ludzkie na śmierć cywilną skazały, a mści się w tej chwili gdy już szczęśliwa i spokojna, powinnaby być skłonniejsza do przebaczenia. Ta pobożna Klementyna przysięgę wykonaną z wezwaniem Boga, dobrowolną przysięgę na miłość i wierność uważa za czczą formalność, za narzędzie zemsty i zadowolenia obrażonej dumy. Uczucie obowiązku które Klementyna posuwa aż do heroizmu w owej przesadzonej scenie nocnej, w której poświęca swą dobrą sławę w oczach kochanka, dla sławy ojca; to uczucie obowiązku, niknie w jej sercu jak kamfora, skoro prawo ludzkie uwolniło ją od najświętszego ze wszystkich obowiązków.... O! to nienaturalnie! bo nie zgadza się z naturą kobiety czyto łagodnej czy zapalczywej, kiedy jej charakter przedstawił autor na drugiej kartce jako pełen szlachetności, wyższej cnoty i poświęcenia. A wszakże jako wzór tych wszystkich przymiotów miał zamiar przedstawić ją nam autor? bo inaczej byłaby ona nicością jako utwor sztuki, jakąś wyjątkową istotą, która niema nam nic do powiedzenia: faktem może prawdziwym ale nie prawdo-podobnym w obyczajach naszych.

Idąc w ślad autorki odpowiedzi na artykuł »z nad Seretu« która przytaczając jeden, prawdą przemawiający obrazek z tej powieści, zatwierdziła: że ponieważ scena kąsania nie pozostała w jej pamięci, a zatem nie świadczy nic przeciwko Klementynie; mogłabym również logicznie zatwierdzić, że ponieważ ten rys pamięć moja zachowała, musiał on być fałszywym dzwiękiem w harmonii charakteru polskiej dziewicy. Ale to bagatelka, którę zresztą tłumaczy nie tylko zapalczywość bohatyrki, ale też i owe bliziuteńkie podobieństwo, ktore jej przyznaje sama autorka odpowiedzi na artykuł »z nad Seretu«. Żem tej powieści nie policzyła do rzędu lichych utworów, świadczą własne słowa moje w poprzedniczej gawędce w której powiadam »że autorowie Kataleptyka i Klementyny posiadają niezaprzeczony talent«. Im większy talent, tem więcej po nim wymagamy, a na krytykę lichego dzieła szkoda czasu i papieru. A my dzisiejsi czytelnicy, jesteśmy prawdziwe dzieci; dają nam wiele, to żądamy jeszcze więcej. Gdy panowie powieściarze ułożyli sobie uczyć nas dziś wszystkiego z powabnej xiążeczki romansu, zaraz rościmy sobie ztąd prawo wymagania aby ten obrok duchowny był razem i pięknym i czystem i pożywnem ziarnem.... Dawniej szukano w romansach chwilowej rozrywki, tkliwych wzruszeń, i t. p. dziś chcemy w nich znaleść jednozgodność naszych opinij, odgadywanie naszych potrzeb i obok obrazku jacy jesteśmy obrazek, jak być powinniśmy.

Aby nie pozostać dłużną w żadnej odpowiedzi, pozostaje mi jeszcze dotknąć ostatniego przedmiotu sporu. Wyznaję z pokorą, przez wzgląd na prawdziwie chwalebne zamiary autorki która młodych pisarzy zachęca do pisania, wyznaję że byłam w błędzie popierając sprawę tłumaczeń »w Dzienniku mód« jakkolwiek błąd mój pochodził głównie z tego mniemania że czasopismom naszym nie wypada jeszcze ochraniać się chińskim murem od literatury zagranicznej, która jako starsza siostra mogłaby sobie pozwolić dać im czasem zbawienną naukę. Lecz skoro autorka odpowiedzi na artykuł »z nad Seretu« znajduje że więcej są interesujące, choćby najsłabsze oryginalne próby (p. M. z Ch. P. mówi o ładnych oryginalnych próbach. — R.) od tłumaczeń ułomków jak n p. żona oszczędna, obrazy Ameryki, o teatrze francuskim i t. d. pozostaje mi tylko uiścić się z danego przyrzeczenia, rachując na pobłażliwość czytelników mód dziennika. »Z nad Seretu.«

## Rozmaitość.

Czartoryski, jenerał ziem podolskich jadąc do Litwy, zajechał raz na noc w dom szlachcica. Wielki ruch, wielkie zamieszanie w domu. Xiążę przyjechał, czem tu przyjąć xięcia! Ten postrzegłszy zmieszanie gospodarstwa, prosił aby sobie żadnego trudu nie zadawali, zapewniając, że nic nie jada pod wieczór, dla zimna jedynie napiłby się polewki z piwa. Zrobiono prędko polewkę, ale w czemże ją podać xięciu? Złożono radę familijną i zgodzono się na to, iż najlepiej będzie podać w najkosztowniejszym sprzęcie domu, w cukierniczce srebrnej. W tę nalewają, ale pachołek niosąc przyciska wieko, zamek zapada, a kluczyk dawno już zaginął. Nowy kłopot. — Musiałem dziurką od klucza cedzić kroplami polewkę na talerz, dodawał xiąże Czartoryski, lubiący opowiadać podobne anegdoty o parafiańszczyźnie drobnej szlachty.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.